№ 11. Warszawa, dnia 28 Lutego (11 Marca) 1876 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost dc Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

NIEKTÓRE SZCZEGÓŁY

o Zakładzie rękodzielniczym dla kobiet.

Przed niejakim czasem podaliśmy wiadomość o Zakładzie rękodzielniczym dla kobiet, który się mieści przy placu Zielonym Nr 10 w Warszawie; obecnie zamiarem jest naszym dotknąć jeszcze niektórych szczegółów tyczących się wspomnionej instytucyi, a to w celu bliższego obznajmienia z nią publiczności naszej.

Na czele zarządu jest dyrektor, do którego należy głównie kierunek nauk i ich rozwój jakoteż odpowiedzialność; wykonawczą zaś władzę tak co do objaśnień przy zapisach, jak również baczenie na wewnętrzny porządek, wykonywa dozorczyni. Wspomnieliśmy już poprzednio iż nauka w zakładzie trwa nieprzerwanie przez rok cały; każde rzemiosło zajmując po 2 godziny dziennie (czyli 12 tygodniowo) wykładanem jest przez fachowych i uzdolnionych nauczycieli, z których każdy ma zastępcę, tak, że żadna przerwa nie może nigdy mieć miejsca.

Opłata od rzemiosł jest następująca: Introligatorstwo (3 miesiące) 20 rs. Krój sukien (2 miesiące) 15 rs. Krój i szycie bielizny (2 miesiące) 12 rs. Wyrób kwiatów sztucznych (6 miesięcy) 40 rs. Krój i szycie rękawiczek (6 miesięcy) 45 rs. Szewstwo damskie i dziecinne (6 miesięcy) 45 rs. Drzeworytnictwo dla umiejętnych rysowników (8 miesięcy) 60 rs. Drukarstwo (10 miesięcy) 75 rs. Fryzyerstwo (6 miesięcy) 45 rs. Wyrzynanie piłką a jour (1 miesiąc) 10 rs. Snycerstwo (4 miesiące) 30 rs. Zegarmistrzowstwo (10 miesięcy) 75 rs. Pieczętarstwo (8 miesięcy) 60 rs.

Od nauk znowu zajmujących 6 godzin tygodniowo (po 1 dziennie) opłata jest następująca: Rachunkowość, buchalterya i korespondencya handlowa (7 miesięcy) 50 rs. Gospodarstwo domowe (2 miesiące) 10 rs. Gospodarstwo wiejskie (3 miesiące) 15 rs. Ogrodnictwo (3 miesiące) 15 rs. Higiena (2 miesiące) 10 rs.

Należność od nauczenia wszystkich powyższych przedmiotów może być wnoszoną miesięcznie. Opłata ta jakkolwiek jest o ile możności umiarkowaną, zostanie jeszcze w miarę powiększania się liczby uczennic zniżoną.

Do nauki rzemiosł potrzebne narzędzia dostarcza Zakład bezpłatnie: przy praktyce jednak domowej winny uczennice zaopatrzyć się w niektóre utensylia używane w obrarem przez siebie rzemiośle, albowiem te które stanowią własność zakładu muszą pozostać na miejscu.

Uczennice nieregularnie uczęszczające na kursa, nie będą przypuszczone do egzaminu; jeżeli zaś która opuści z rzędu 3 lekcye, winna zawiadomić zarząd o przyczynie nie znajdowania się na wykładach. Każda skończywszy całkowity kurs może wpisać się bezpłatnie do księgi rekomendacyjnej utrzymywanej w zakładzie, a to w celu ażeby osoby potrzebujące wykształconych specyalnie kobiet, miały o nich odpowiednią wiadomość. Gdyby przy nowo otwierających się kursach, komplet uczennic nie został w przeciągu trzech miesięcy zebranym, kandydatki odbierają napowrót wniesioną opłatę.

Dotychczasowy rozwój zakładu jakkolwiek stosunkowo znaczny, może z czasem przy gorącem poparciu ogółu, do większych nierównie wzrosnąć rozmiarów. Obecnie przywileje nadane przez rząd wspomnionej instytucyi, mogą rozszerzyć zakres jej działania, na drodze teoretycznego i praktycznego postępu. Z czasem sprzyjające okoliczności są w stanie przyczynić się do otworzenia wykładów humanitarnych, urządzenia odczytów, utworzenia biblijoteki i czytelni dla kobiet, kassy wkładowej i pożyczkowej, kantoru rekomendacyjnego, jakoteż założenia warsztatów i Bazaru służącego do sprzedaży wykonanych w tychże warsztatach artykułów. Ażeby jednak dojść do tych świetnych rezultatów, należy koniecznie osobom dla których pomyślność tyle pożytecznego zakładu nie jest obojętną, podtrzymywać czynem i słowem jego istnienie i dalszy rozwój. Do dam mianowicie naszych zwracamy się w tym względzie, ufni, iż one nietylko spółczuciem lecz i współdziałaniem swojem, zechcą przyczynić się do utrwalenia i rozszerzenia zarazem, dotychczasowego programatu nauk wspomnionej instytucyi.

W poprzedniem sprawozdaniu naszem (patrz Tyg. Mód i Pow. z d. 12 Lutego N. 7) wkradły się następujące pomyłki drukarskie, które niniejszem prostujemy:

Zakład otwartym został nie 10 Listopada r. 1874, lecz tegoż dnia 1873 r. W roku 1873 pobierało naukę 146 uczennic, w następnym zaś 186. Nakoniec w szpalcie 2 wierszu 19 miasto *uwolnienia*, czytać należy *uzdolnienia*.

Ludwik Niemojowski.

SZCZYT MYŚLI.

Wielka myśl Boża
Padła w przestworza,
Zajaśniał wieczny dzień;
Wątpliwość znika
Z pod jej promyka—
Od słońca znika cień.

Atomy, światy
Góry i kwiaty
To skrawek Jego szat,
Czas nieskończony,
Wieków miljony,
Są chwilą Jego lat.

Wprzód był w swym bycie
Niż było życie,

Bo On jest siłą sił;
W punkcie, w atomie,
W próżni ogromie
Ten ogrom świata krył.

Rzekł: stań się!... Stało..
Myśl wzięła ciało;
Lecz ciałem nie jest On—
Jego myśl-siła
Ciało zrodziła,
Jak muzyk rodzi ton.

Wiedza-przyczyna
Skutek poczyna,
Bo skutek—wiedzy czyn;
Odwieczność ciała
Z czynu powstała,
Jak z ojca powstał syn.

Myśl Boża jedna,
W Nim samowiedna —
To ludzkiej myśli szczyt;
Z niego człek może
W ducha pokorze
Ogarnąć cały byt.

Lecz mędrce chwili
Niżej zstąpili,
Gdy duma oko ćmi;
Doświadczeń drogą
Chcą dojść—nie mogą—
Gdzie wieczna prawda tkwi.

J. Laskarys.

PANI LUIZA.

(Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA)

NOWELLA

ELIZY ORZESZKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Ujrzawszy mię p. Mięcicka zmieszała się trochę i umilkła. Adwokatów nie lubiła w ogólności, uważając ich za współzawodników swych najniesprawiedliwiej przez praw o protegowanych i chleb jej odbierających. Oprócz p. Mięcickiej znajdowała się jeszcze w saloniku p. Kuniewiczowa, która z wyniosłą jak zwykle postawą i dumnie smutną twarzą, najbliżej gospodyni domu siedząc, ze wzgardliwą obojętnością zdawała się słuchać tragicznych opowiadań koleżanki, i p. Zuzanna Krzaczkowska która na nizkim taboreciku umieszczona, wychylała z za poręczy kanapy malutką swą, żółtą i pomarszczoną twarzyczkę, napiętnowaną teraz wyrazem podobnie błogiego zaciekawienia, jakiego doświadczać zwykły tłumy na widok spadających z rusztowania głów zbrodniarzy. Cała zresztą atmosfera ślicznego saloniku, przesiąknięta była tajemniczą jakąś grozą, gdyż i p. Luiza z pobladłą widocznie twarzą i szerzej niż zwykle roztwartemi oczami, powstała na moje przyjęcie.

— Jakaż to okropna historya! rzekła podając mi rękę i gestem zapraszając abym usiadł przy niej na fotelu, jakaż to okropna historya tego morderstwa o którem opowiadała nam przed chwilą p. Mięcicka. Musisz pan także znać wszystkie szczegóły tej przerażającej zbrodni.

— Znam je wybornie, odpowiedziałem z uśmiechem, bo zarówno jak p. Mięcicka byłem na posiedzeniu sądowem które sprawę tę roztrząsało! Jestem w stanie nawet dokonać w opowiadaniu p. Mięcickiej kilku poprawek. Tak np. oczy morderców nie wyglądają bynajmniej jak rozpalone głownie i nie smalą pleców osób na których wzrok swój zatrzymują. Przeciwnie, są to mgliste, senne, nawpół idyotyczne oczy ludzi, którzy pozbawieni wszelkiego umysłowego światła i wszelkiej moralnej dźwigni życia czynili zło jedynie pod wpływem instynktów, z których sami sobie zdać sprawy nie umieli. I jeżeli oczy te palić mogą boleśnie cokolwiek to z pewnością nie plecy, ale chyba sumienie szczęśliwszych i oświeceńszych współbraci, którzy nic nie uczynili aby oświatą i umoralnieniem obudzać i uszlachetnić złe ich instynkty. Oprócz tego, upewnić mogę panią, że nie było tam ani oczów wykłutych, ani włosów powyrywanych, ani rąk połamanych, ani żadnych tym podobnych okropności. Było jedno tylko uderzenie toporem w głowę, ale to wystarczyło zupełnie aby odjąć życie nieszczęśliwemu podróżnemu.

Poprawki te moje zostały przez całe obecne towarzystwo jak najgorzej przyjętemi. Pani Mięcicka opąsowiała z gniewu a może i ze wstydu, żem bujną jej improwizacyą w krainę mytów spychał i szybkiem wejrzeniem porozumiała się z koleżankami, które każda po swojemu wstrząsnęły głowami i mrugały powiekami w znak obrazy i śmiertelnego ku mnie wstrętu. Ale i sama p. Luiza zdawała się być z poprawek moich wcale niezadowoloną. Uproszczona w ten sposób zbrodnia, przestawała drażnić jej nerwy i dostarczać pokarmu dla jej wyobraźni. Oczy zbójców mętne i wpół idyotyczne były oczami daleko prozaiczniejszemi od rozpalonych głowni p. Mięcickiej, a jedno tylko uderzenie toporem w głowę, sprowadzało wersyę całą z wysokości potwornych, wstrząsających okrucieństw, na poziomy zbrodni — spełnionej w sposób ordynaryjny i zupełnie pierwotny.

— Myślę jednak, rzekłem, że zmartwienie i przerażenie o których dziś w liście pani wyczytałem, miały źródło w czem innem jak w doszłych do pani wiadomościach o owem morderstwie...

— O! zupełnie w czem innem! odpowiedziała pani Luiza. Nie wyobrazi pan sobie jak przykrem wrażeniem dzień dziś rozpoczęłam. Zaledwie obudziłam się wręczyli mi jakieś pismo...

Tu pani Luiza powstała i zbliżyła się do stojącego w rogu salonu ślicznego różanego bióreczka, na którem wielkiemi urzędowemi pieczęciami zaopatrzony spoczywał arkusz grubego papieru. P. Luiza wzięła papier ten w dwa palce tak zupełnie jakby brała w rękę albo rozpalone żelazo albo wstrętliwie ślizgą ropuchę.

— Nie wyobrazi pan sobie, rzekła podając mi ten przedmiot obrzydzeuia swego, jak byłam przestraszoną i zakłopotaną pismo to otrzymując. Nie umiem go przeczytać, gdyż pisane jest w nieznanym mi języku. Wiem jednak z góry, że musi to być coś bardzo przykrego dla mnie, coś co może ostatecznie już zrujnuje mię, albo przynajmniej nieznośnych nabawi kłopotów. Chciej mię pan nie oszczędzać i powiedzieć szczerze co to takiego. Jestem przygotowaną na rzeczy najgorsze.

Gdy p. Luiza to mówiła, trzy obecne kobiety zdawały się całe swe dusze na ustach jej zawieszać. Ciężkie westchnienia wydzierały się z ich piersi, a głowy ich kołysały się wybijając niby do słów jej takt żałosny.

— Oj te kruczki! te kruczki! przyczepki! zdzierstwa! jęczała p. Mięcicka, znam ja je dobrze i umiem sobie z niemi radzić, ale dla takiej delikatnej osoby jak p. hrabina musi to być ciężar nad siły!

— Okropny ciężar! moja kochana pani Mięcicka! potwierdziła ścicha p. Luiza osuwając się na kanapę.

— Co to jest kiedy kobieta zostanie samą na świecie, bez familijki, bez żywej duszyczki któraby ją broniła! wzdychała p. Zuzanna.

— Złych ludzi pełno jest na świecie, a takich aniołów jak pani hrabina mało. Niema więc czemu dziwić się, że szatani anioła na wszystkie strony szarpią! z poważną boleścią w głosie i na twarzy, zawyrokowała p. Kuniewiczowa.

Ja tymczasem przebiegłem oczami tak fatalne dla p. Luizy pismo i nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

— Łaskawa pani! rzekłem, rzecz ta jest tak drobną, iż przez omyłkę tylko zapewne zakomunikowaną została pani, nie zaś miejscowej dóbr jej administracyi...

— Okropna omyłka! szepnęła p. Luiza. Ale cóż to jest, au nom du Ciel, Monsieur, czego ci ludzie chcą ode mnie?

— Ci ludzie, rzekłem, uwiadamiają panią, że jeden z mostów na gruntach jej istniejących, zepsutym został, i że z przepisów administracyi, obowiązaną pani jesteś dostarczyć z lasów swych drzewa dla jego naprawy...

— Mon Dieu! z ogromną ulgą w głosie szepnęła p. Luiza, możnaż podobnemi drobnostkami dręczyć i kłopotać ludzi! Myślałam doprawdy, że idzie tu o cały mój majątek!

— Ależ to okrucieństwo prawdziwe, ażeby tak nie mieć względu na słabe nerwy i delikatne zdrowie p. hrabiny! jęknęła składając dłonie p. Mięcicka.

— To dopiero rozbójniki, katy, ludożercy! oburzała się p. Zuzanna.

— Albo to teraźniejszy świat szanuje cokolwiek? albo to dla teraźniejszych ludzi dama wysoko urodzona znaczy cokolwiek? z goryczą wypowiedziała p. Kuniewiczowa.

Pani Luiza siedziała chwilę z oczami dłonią przysłonionemi.

— Doprawdy, rzekła podnosząc głowę i ze zmieszaniem pełnym wdzięku patrząc na mnie, wstydzę się doprawdy, że przyjmuję pana w dziwnem usposobieniu. Ale oprócz tego okropnego pisma, miałam dziś jeszcze jedno bardzo dotkliwe zmartwienie...

— Z innej strony znowu, dodała podnosząc się z kanapy i uśmiechając się, mam też i pociechy moje... chciej pan zobaczyć moją wczorajszą i dzisiejszą robotę...

Wskazywała mi niewielkich rozmiarów obraz w złocone ramy oprawny, a przed sztalugą malarską u okna stojącą, na podniesieniu umieszczony.

— Obraz ten rzekła, należy do księcia Jana. Robię z niego dla siebie kopiję. Co za cudowny krajobraz, nieprawdaż?

Był to wizerunek dość wdzięcznego kątka ziemi. Wśród zielonej łączki, w głębokim rozdole ścielącej się, stała chatka wieśniacza smętnemi jodłami ocieniona. Dokoła osłaniały ją obrosłe lasem góry i nagie piętrzące się skały, w dalekiej perspektywie płynął kręty strumyk a w górze przeciągały po błękitach stada drobnych chmur białych.

Widziałem i uznawałem że był to krajobraz dość ładny, biegłym bardzo i subtelnym pędzlem wykonany. Jakim sposobem przecież stanowić on mógł dla p. Luizy pociechę w jej strapieniach? nie rozumiałem. Wytłomaczyła mi to sama.

— Nieprawdaż? rzekła, jaka cisza niezmącona, jaka nieskalana niewinność wieje z krajobrazu tego przedstawiającego zapadły, górami zakryty, kątek ziemi! Nie nie ma dla mnie ponętniejszego nad dziką, samotną naturę, za niczem bardziej nie tęsknię jak za tą

pierwotną prostotą życia, która w obec podbojów dzisiejszej cywilizacyi naszej, gdzieniegdzie już tylko pozostała, niby na świadectwo minionych złotych wieków ludzkości.

Wierzaj mi pan, dodała po chwili ciszej, że byłabym najszczęśliwszą, gdybym gdziekolwiek na świecie posiadała chatkę podobną i żyć w niej mogła nieznana światu i wzajem go nieznająca!

Gdy mówiła to, usta jej drżały trochę, a oczy wpatrywały się wciąż w jeden punkt obrazu. Poszedłem za kierunkiem jej wzroku i spostrzegłem pewien szczegół krajobrazu, którego dotąd nie zauważyłem. Była nim w niewyraźnych zarysach, za mgłą jakby i na najdalszym planie ukazana para ludzi, górali jak się zdawało, którzy stojąc nad strumykiem czerpali wodę czy zrywali kwiaty, czy też może innemu jakiemuś, równie sielskiemu oddawali się zajęciu. Byli to nieśmiertelni owi i niezbędni snać tak w krajobrazach jak w romansach: Numa i Pompilijusz. W mojem wyobrażeniu idyliczna para ta szkodziła raczej obrazowi niż go przyozdabiała. Przypomniały mi się na jej widok sielanki Floryana i królowe z XVIII-go wieku przebierające się za pasterki i dojące krowy. Ale inaczej wcale rzecz tę rozumiała p. Luiza. Dla niej Numa i Pompilijusz stanowili niezbędną okrasę a może nawet i główną osnowę tak każdego dzieła sztuki, jak i wszelkiego ludzkiego istnienia. W olbrzymim poemacie włoskim uwielbiała najżywiej Danta i Beatryczę, wśród krajobrazu górskiego, wzrok jej najsilniej przykuwali do siebie: pasterz i pasterka.

— Czy mogę teraz spojrzyć na kopiję? zapytałem.

Zawahała się chwilę i zarumieniła trochę. W ogólności rumieniła się często, co nadawało chwilami przywiędłej nieco jej twarzy pozór świeżej i skromnej dziewiczości.

Odsłoniła jednak robotę na staludze umieszczoną. Malowała wprawnie i z wielką znajomością sztuki, ale przeniewierzała się oryginałowi który naśladować chciała. Para pasterzy usunięta na oryginale w najdalszą głębię perspektywy, występowała w niej na plan bliższy, w znacznie powiększonych rozmiarach. Co więcej, rysy pasterza przypominały w sposób uderzający, ściągłą, gorąco bladą twarz pewnego znajomego mi, utytułowanego Antinousa.

Wiele jeszcze potem i w sposób bardzo uroczy p. Luiza mówiła mi o nieporównanie pięknych widokach górskich, które widywała w Szwajcaryi i południowej Francyi. Wyobraźnia jej zatrzymywała się najchętniej śród dzikich, samotnych zakątków ziemi, tuliła się pomiędzy wysokie, świat gwarny zakrywające skały, zawisała nad umajonemi dzikim bluszczem dachami nizkich, ubogich chatek i na tle tem lekkiemi a żywemi rysami malowała obrazy jakiegoś fantastycznego Edenu. O bogactwie, o komforcie, o sprzętach miękkich i atłasem obitych, o malutkich fotelikach palisandrowych, jedwabnych firankach i wieszadłach układanych kunsztownie z jelenich rogów — o tem wszystkiem słowem co przepełniało mieszkanie p. Luizy, w obrazach tych, wyobraźnią jej malowanych, najlżejszej nie było wzmianki. Panowała śród nich prostota zupełna, pierwotna niemal prostota ubóstwa, a oprócz prostoty jeszcze było tam wiele ciszy, poezyi, niewinności, i jak już sam domyślałem się — samotności we dwoje. Cokolwiekbądź, p. Luiza raz wpadłszy na jakikolwiek ulubiony sobie temat, stawała się prawdziwie wymowną. Z ożywionych rysów jej twarzy, z blasku którym zapalało się jej oko, z trafności i subtelności jej wyrażeń, poznać można było wtedy, że umysł jej był z natury żywym, pojętnym, zdolnym do szlachetnych, acz niezmiernie jednostronnych zapałów i uniesień.

Z tem wszystkiem wizyta moja jakkolwiek przeciągnęła się dość długo, stała się dla interesów bezpłodniejszą jeszcze od poprzedzającej. Dnia tego, stanowczem już było niepodobieństwem skłonić p. Luizę do mówienia o rzeczach tyczących się jej spraw majątkowych. Zacząłem spostrzegać, iż zadanie które przyjąłem na siebie, trudniejszem będzie do spełnienia niż mniemałem zrazu i że pochłonie mi ono więcej czasu niż go bez szkody dla innych zajęć moich ofiarować mogłem. Ale p. Luiza nic wcale o czasie i wysokiej cenie jego, nie wiedziała i wiedzieć nie chciała. Kiedy na uprzejme zaproszenia jej odpowiedziałem, że pomimo prawdziwej przyjemności jaką znajduję w jej towarzystwie, nie będę mógł z powodu braku czasu bywać u niej codziennie, zawołała ona z prześlicznym uśmiechem.

— Oh, mon Dieu! nie wiem doprawdy co panowie zwykle z tym swoim czasem czynicie! Życie jest jednak tak długie, tak nieskończenie długie...

Myślałem zawsze, rzekłem, że jest ono przeciwnie zbyt krótkiem dla wszystkiego co człowiek myślący pragnąłby a może i mógłby zdziałać na świecie.

— Musisz pan być bardzo szczęśliwym, jeżeli życie wydaje mu się krótkiem.

— W istocie, odpowiedziałem, nie uznaję siebie wcale za człowieka nieszczęśliwego. Mam rodzinę którą kocham i zajęcia w których zużytkować mogę siły mego umysłu i dnie mego życia, nie bez korzyści dla siebie i innych.

Patrzała na mnie z zamyśleniem.

— Doprawdy? wymówiła zwolna! To dziwne! myślałam zawsze i myślę że szczęścia nie ma wcale na ziemi... Wszakże, dodała prędko, skoro pan masz rodzinę którą kochasz i przez którą wzajem kochanym jesteś, wierzę iż możesz pan uczuwać się szczęśliwym...

— Chciej pani koniecznie do tego zadowolenia serca dodać zawód mój który zadawalnia mi umysł i sumienie.

Uśmiechnęła się.

— Nie mogę w żaden sposób uczynić tego, rzekła. Nie pojmuję bowiem jakim sposobem zawód mający do czynienia z kodeksami, procesami i różnemi pieniężnemi albo zbrodniczemi sprawami, stanowić może integralną część czyjegokolwiek szczęścia!

— I nie przypuszczasz pani że w zawodzie tym odkryć można stronę filozoficzną, która rozszerzając widnokręgi jego i uszlachetniając treść, czyni go wysoce zajmującym i pożytecznym...

Zaśmiała się srebrzyście i nieco fluternie.

— Filozofija kodeksów i procesów! zawołała. Rzecz to nowa i najzupełniej niepojęta dla mnie. Przebacz pan, ale w nią uwierzyć nie mogę.

— A w filozofiją nauk przyrodniczych, czy nie wierzysz pani również jak w filozofiją prawa?

— Nie wierzę w nią bardziej jeszcze. Nauki przyrodnicze to suchy zbiór faktów, odnoszących się do zwierząt i kamieni. Nie może w nich być ani filozofji ani poezyi żadnej.

— A filozofija historyi? zagadnąłem jeszcze.

— To co innego, odparła, historya zajmuje się ludźmi...

— Zdaje mi się, rzuciłem nieśmiało, że nauki przyrodnicze i prawne nie zupełnie też są obce rodzajowi ludzkiemu...

— Być może, ale ja nie wierzę w to, bo wcale o tem nie wiem, odpowiedziała z doskonałą tym razem logiką.

Przy ostatnich wyrazach na ruchomej dziwnie, delikatnej jej twarzy ukazało się zmęczenie. Kilka ostatnich zdań które zamieniliśmy ze sobą, znudziło ją już i znużyło! Była to rozmowa zbyt dla niej sucha i ciężka. W kilka dni potem wspominając o rozmowie tej przed księciem Jasiem, nazwała je rozmową naukową. Pan Rolicki, rzekła z żartobliwym przekąsem, pan Rolicki stanowczo jest materyalistą. Utrzymuje, że kodeksy i procesy mają swoją filozofiję a nauka o kamieniach i zwierzętach jest bardzo poetyczną!.. Rozpoczął też był ze mną w tym przedmiocie rozmowę naukową, ale ja prowadzić jej nie chciałam. Nie mam najmniejszej ochoty, dodała śmiejąc się, zostać uczennicą Darwina i razem z nim zgubić na wieki moją duszę...

— Być że to może abyś pani czytała Darwina? zażartowałem.

Spojrzała na mnie z przerażeniem nieudanem.

— Dieu m'en garde! zawołała głośno. C'est un monstre!

Już to w ogólności piśmiennictwo całe świata ucywilizowanego rozpadało się w jej oczach na dwa działy. Pierwszy z nich uwielbiała bez granic, drugiego tknąćby nie chciała końcem choćby delikatnego paluszka. Środka pomiędzy dwoma ostatecznościami temi nie było. Czytywała jednak wiele. Z dziedziny beletrystyki ulubionemi jej utworami były romanse francuzkie tak zwane sensacyjne, albo też powieści angielskie należące do szkoły, która utwory swe niezmiennie prawie tytułuje w sposób następny: *Różyczka wiosenna*, *Różyczka mojego brata*, *Sen różany*, *Dziewczyna w różowej sukni* i t. p. Raz pokazała mi jakąś książkę, mówiąc: Zaręczam panu, że musi to być coś nieporównanie pięknego!

Zauważyłem iż sądzić o tem nie mogła, ponieważ kartki książki były jeszcze nie rozcięte.

— A tytuł? rzekła. Fleurange! Z samego już brzmienia tytułu tego wnosić można że...

— Że będzie tu mowa o kwiatach i aniołach, dokończyłem żartując.

— Cóż może być wdzięczniejszego jak przypatrywanie się kwiatom i aniołom? rzekła.

— A ludzie? zagadnąłem.

— Oh! jen ai assez! mam ich dość w rzeczywistości. Od książki wymagam aby unosiła myśl moją w sfery jaśniejsze, wyższe...

Przemocą niemal, śmiejąc się tak wdzięcznie jak tylko ona jedna śmiać się umiała, wcisnęła mi raz w rękę Medytacye Lamartina.

— Mam nadzieję, rzekła, że uwielbiony mój Lamartin wyleczy pana z tej okropnej suchości wyobraźni, którą nabawiła pana pewnie filozofija kodeksów i procesów. Wymagam od pana stanowczo abyś dziś jeszcze przeczytał parę ustępów...

Nazajutrz odniosłem jej książkę.

— Eh bien! zapytała, ciekawie mi w twarz patrząc, czy uleczyłeś się pan?

— Uleczyłem się — z bezsenności, która od kilku dni mię trapiła, odpowiedziałem.

Odpowiedź ta zmartwiła ją widocznie i rozgniewała trochę.

— Mój Boże! rzekła, jak to trudno aby dwie dusze ludzkie porozumieć się mogły ze sobą doskonale, na biednym tym świecie! Pan i ja naprzykład, należymy do ludzi ucywilizowanych, a jednak jak bardzo różnimy się w poglądach i upodobaniach naszych.

— *Et savez-vous*? dodała, że ten sam rozdźwięk panował zawsze prawie pomiędzy mną a ogromną większością ludzi, których spotykam w mem życiu. Nie wiem doprawdy, czy ja nie rozumiem świata, czy też świat mię zrozumieć nie może.

— Albo też nie chcesz go pani zrozumieć, rzekłem poważniej.

(d. c. n.)

SALOMEA.

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY

przez

Miss Edwards.

(Dalszy ciąg).

Słońce znikło w chwale swojej: ostatnim promieniem ozłacając kopuły, wieże Wenecyi i góry, z barwy różowej przeszły w fioletową, z żółtej w popielatą. Zaledwo dające się dostrzedz pary okryły powierzchnię laguny, a na sklepieniu niebios pierwsza ukazała się gwiazdka.

Czekałem aż zmierzch wieczoru nie stał się tak ciemny, iż nie mogłem odleglejszych rozróżnić przedmiotów. Czyż ona jeszcze tam była?.. Na to nie znajdowałem odpowiedzi. Bojąc się zgubić drogę, jeśli nie będę korzystał z krótkiego zmroku, wprost na brzeg się udałem i już po nad morzem doszedłem do miejsca gdziem gondolę zostawił.

Gondoliera zastałem śpiącego, z głową na poduszce gondoli i przykrytego małym dywanikiem zwykle pod nogi służącym. Rozbudziłem go i zapytałem, czy nie widział przypadkiem inną gondolę odpływającą z Lido. Przetarł oczy i powstał na nogi.

— *Per Bacco! signore*, spałem — odpowiedział przepraszając—nic nie widziałem.

— I nie widziałeś żadnej łodzi u brzegu kiedyśmy przybijali?

— Żadnej *signore*.

Począł śmiać się potrząsając głową.

— *Consolatevi signore*—odpowiedział uśmiechając się nieco ironicznie—;wróci jutro.

Ale widząc mój nastrój poważny, zdjął czapkę mrucząc pokornie: *scusate signore*, usiadł w tyle gondoli i czekał. Rozkazałem odwieść się do hotelu i położyłem się w głębi gondoli; skrzyżowawszy ręce i zmrużywszy oczy myślałem o Salomei.

O ileż ona była piękniejszą niżem ją przypominał sobie! O jakże więcej unosiłem się nad nią teraz, niż kiedy ją po raz pierwszy ujrzałem na Merceria! Czym był ślepy wtedy, czy też rzeczywiście ona tak bardzo wypiękniała? Spotykałem ją w tak dziwnem miejscu. Na czyimże to grobie modliła się? Zapewne na mogile ojca. Bardzo był starym kiedym go poznał, i według zwykłego porządku natury, nie wiele mu już do życia zostawało. Umarł zatem, a ztąd i daremne poszukiwania moje na Merceria. Sklep musiał być innemu wynajęty, a towary zapewne rozprzedane. A Salomea, czy pozostała samą bez matki, brata, lub narzeczonego? Jej oczy nie miałyby tego niewysłowionego wyrazu boleści, gdyby choć jedno uczucie na ziemi jej pozostało. Przyszedł mi na myśl Cowentry Furnour i blizki ślub jego. Wątpiłem iżby ją kochał szczerze, chociażby przez chwilę. „Prawdziwa miłość, mówi pieśń dawna, nigdy nie zapomina" a on całkiem zapomniał, jak gdyby przeszłość snem tylko była. Jednakowoż był szczerym w owym czasie, i byłby wszystko poświęcił dla niej gdyby go tylko pokochała.

Pomyślałem także, dla czego nigdy nie rozpytałem go o szczegóły tej historyi. Czy ona go nie chciała, czy odmowa od ojca pochodziła, lub czy nie przyjęto go z przyczyny wiary? W owym czasie nigdy mi na myśl nie przyszło dowiedzieć się o tem wszystkiem, a teraz oddałbym mego najlepszego myśliwskiego konia, aby najdrobniejsze wiedzieć szczegóły.

Wróciwszy do hotelu, zjadłem obiad, a po obiedzie zaszedłem do ulubionej mojej kawiarni na Piazza, potem zaś wstąpiłem na pół godziny do teatru de la Fenice, gdziem wysłuchał jednego aktu bardzo lichej opery; nareszcie wróciłem do siebie niezdrów i w złym humorze, i kazawszy rozpalić ogień w sypialnym pokoju, usiadłem przed kominkiem w myślach pogrążony, stawiając sobie jedno bez końca pytanie, jakim sposobem będę mógł ją obaczyć?.

W końcu zmęczony, usnąłem w fotelu. Gdym się przebudził, słońce jaskrawo w okna moje świeciło.

W jednej chwili byłem na nogach. Przy blasku dziennym znalazłem sposób tak długo i daremnie poszukiwany. Należało tylko udać się na cmentarz, wziąść kopiję napisu umieszczonego na grobie starca i prosić mego uczonego przyjaciela, profesora Nicolai z Padwy aby mi go przetłomaczył. Będąc w posiadaniu dat i nazwiska, reszta łatwo już pójdzie. Niespełna w godzinę byłem na drodze do Lido.

Zdjąłem odcisk napisów; był to najprędszy i najpewniejszy sposób. Wiedziałem że w języku hebrajskim sens zależy od punktuacyi liter, kopjując mógłbym zrobić omyłkę. Dopełniwszy tego wróciłem natychmiast i list wraz z odciskiem wysłałem do profesora południowym pociągiem.

Zacny profesor nie był wcale człowiekiem szybko działającym, przeciwnie, nadzwyczaj był powolny, zapominający się, marzący i całkiem zatopiony w swych pracach nad językami wschodniemi. Z każdym innym korespondentem, mogłem oczekiwać odpowiedzi na dzień jutrzejszy ale z profesorem Nicolai z Padwy, szaleństwem byłoby chcieć ją otrzymać przed trzema lub czterema dniami. Co przez ten czas robić?—Co robić?—czyż nie miałem kościołów i pałaców do zwiedzania, malowniczych widoków do zdejmowania, kilku listów rekomendacyjnych do oddania w niektórych znakomitych domach? W każdym razie niecierpliwość do niczego prowadzić nie mogła.

A jednak pomimo tych rozumowań tak wielka ogarnęła mnie niecierpliwość, że nie mogłem ani czytać, ani rysować, ani usiedzić na jednem miejscu choćby przez kilka minut. Włóczyłem się wprawdzie z pałacu do pałacu, z galeryi do galeryi, lecz ciągle największym trawiony niepokojem.

Zamknięcie w gondoli było mi nieznośnem. Zdawało się jak gdybym był skazany na nieustanny ruch bez wypoczynku, a nawet i pomimo tego, dzień wydał mi się wiecznością.

Nazajutrz było jeszcze gorzej. Mogłem już odebrać odpowiedź z Padwy, a myśl że nie przychodzi tak mnie rozdrażniała, iż niczem zająć się nie mogłem. Rozpytując wszystkich listonoszów którzy od ósmej rano do czwartej po południu w hotelu się pojawiali, nie mogłem dłużej utrzymać się na miejscu, wyszedłem na plac Świętego Marka i bezwiednie stanąłem przy debarkaderze; tam spostrzegł mnie zwykły mój gondolier.

Zdjął czerwoną czapkę i oczekiwał jakby na rozkazy.

— Gdzie popłyniemy, *signore*?—odezwał się znudzony mojem milczeniem.

— Na Lido—odpowiedziałem machinalnie.

Było to pragnienie niczem niepowstrzymane, uległem mu z wewnętrznem na siebie oburzeniem. Rozum powiadał, że niepowinienem wracać w to miejsce, a jednak tam spieszyłem.

Po drodze wmawiałem w siebie iż jadę tam na zwiady. Nie było prawdopodobnem ażeby codzień i o jednej porze bywała na grobie; ale mogę spotkać jej gondolę bądź na lagunie, bądź też wzdłuż brzegów. W każdym razie postanowiłem nie wysiadać z mojej. Ale minąwszy San-Pietro-Castello żadnej nie spotkaliśmy gondoli i wzdłuż brzegów Lido żadnej równie nie było. Wieczór już się zbliżał, słońce ku zachodowi się miało, Lido więc i wybrzeża były puste, nikogo spotkać nie mogłem. Gondolier wypatrywał dogodnego miejsca aby przybić do lądu i w końcu przywiązał gondolę do tychże pali co i pierwszym razem. Zdawał się być przekonany że wysiądę, tak się też i stało. Zresztą, oczywistem było że Salomei tam nie ma, a gdyby nawet i była, to nie poszedłbym w tę stronę. Z tem postanowieniem udałem się na cmentarz i przeszedłem na najwyższe miejsce wydmy. Znowu ujrzałem kałuże wody drzemiącej między trzcinami, morze po lewej stronie, lagunę po prawej, a pomiędzy niemi rozciągającą się ogromną wydmę piaszczystą. U stóp moich zaległ nowy cmentarz i widziałem nawet kamień grobowy z którego odcisk zdjąłem był wczoraj.

Ani jedna istota żyjąca się nie ukazywała. Według wszelkiego prawdopodobieństwa byłem tak dalece sam na tem smutnem miejscu, jak Enoch Arden na swej bezludnej wyspie. Postępowałem zwolna coraz bliżej i bliżej, nic prawie o tem nie wiedząc, aż wbrew memu postanowieniu znalazłem się u tejże samej mogiły której unikać chciałem. Słońce było już zapadło w chmurę z rubinów i złota, morze, ziemię i niebo falami purpury zalewając, na tem samem miejscu przedwczoraj widziałem Salomeę, ona to właśnie siedziała. Kilka nędznych ździebełek trawy na brzegu mogiły wyrastało; suknia jej musiała ich dotykać, może nawet jej ręka?

Jedno z nich zerwałem i włożyłem między kartki mego pugileresu.

Nareszcie mając już odejść zwróciłem się ku brzegowi i... naprzeciw niej się znalazłem.

Nie była więcej jak na dziesięć kroków odemnie i postępowała zwolna na miejsce na którem stałem, z głową nieco naprzód pochyloną, ze złożonemi rękami, a oczyma w dół spuszczonemi. Miała postawę zakonnicy.

Zdziwiony, pomieszany, sam nie wiedząc co robię, zdjąłem kapelusz i cofnąłem się aby dozwolić jej przejścia. Podniosła oczy, chwilę się zawahała, spojrzała na mnie z dziwnym jakimś wyrazem, pewnym siebie a smutnym; potem spuszczając oczy przeszła obok mnie nie spojrzawszy więcej i w milczeniu usiadła na mogile ojca, w tej samej postawie w jakiej już ją widziałem.

Odszedłem. Zdaje się iż wiele byłbym oddał aby przemówić do niej, a jednak nie śmiałem; chwila stosowna przeszła, i czemuż z niej nie korzystałem, czemu nie wyrzekłem do niej chociaż jednego słowa? Patrząc na mnie, spojrzenie jej było tak szczególne, a tak bardzo smutne, tak długo, tak przeciągle wzrok jej spoczywał na moim; cóżby to znaczyć miało?.

Mogłem więc i przemówić!... a teraz, ach! teraz, było już niepodobnem! Wróciła do swej zadumanej postawy, z głową na dłoni wspartą. Myśli jej musiały błądzić gdzie daleko: zdawało się iż obecności mojej już nie widzi wcale.

Wróciłem na brzeg, bardziej pomieszany aniżeli za pierwszym razem. Spędziłem resztę wieczoru na przejeżdżaniu wzdłuż brzegu Lido, w nadziei iż ujrzę jej gondolę, obaczę ją wsiadającą, i zdaleka popłynę za nią. Ale zmrok zapadł zbyt prędko, prędzej jeszcze ciemność nocy okryła lagunę i musiałem wrócić nie odkrywszy najmniejszego śladu jej obecności.

Następnej nocy, przewracając się na łóżku bezsenny, myśl moja uporczywie wracała do wszystkich szczegółów tych kilku dni ostatnich, i w marzeniach moich ciągle widziałem to spojrzenie tak smutne, które na cmentarzu mi rzuciła. Im bardziej zastanawiałem się nad niem, tem głębsze w niem odkry-

wałem znaczenie, którego w mojem pomieszaniu nie dostrzegłem w pierwszej chwili. Dziwne to spojrzenie było prawie błagające, jakby proszące o pomoc i współczucie. Czy rzeczywiście tak było? Zresztą cóż prawdopodobniejszego być mogło, że sama na świecie, nie mając żadnego z krewnych może się znajdować w obec jakich trudności i nie wie u kogo szukać pomocy lub rady? Ach! gdyby mnie chciała obdarzyć ufnością swoją!.

Spodziewałem się otrzymać tego rana odpowiedź z Padwy, ale ranek upłynął a żaden list nie przybywał. Przed wieczorem byłem znowu w drodze na Lido, jednak tym razem z mocnem już postanowieniem przemówienia do niej. Wysiadłem na ląd i wprost ku mogile się udałem. Cały ten dzień był posępny; niebo i laguna wyglądały jakby ołowianym kolorem pociągnięte, a Wenecyą mgła szara pokrywała. Ujrzałem ją skorom wstąpił na cmentarz; błądziła pomiędzy grobami jakby cień tajemniczy. Byłem pewny że tu ją zastanę, a teraz, przez jakiś niepojęty fenomem psychiczny byłem pewny że czeka na mnie?

Drżąc z niecierpliwości a jednak lękając się chwili w której spostrzeże obecność moją, postępowałem zwolna. Jeszcze chwil kilka, a już się z nią spotkam, przemówię do niej, usłyszę harmonię jej głosu, harmonię która w mem uchu gra jeszcze, chociaż rok przeszło minął jak ten głos słyszałem. Lecz jak zbliżyć się do niej—co jej powiedzieć? Nie miałem czasu już pomyślić o tem gdyż znalazłem się o dwa kroki od jej długiej, powłóczystej sukni; odwróciła się a ja się zatrzymał, i zdjąłem kapelusz jakby przed królową.

Spojrzała na mnie tak jak wczoraj; oczy jej tenże sam wyraz miały bardziej może jeszcze błagalny; ale zdawała się oczekiwać iżbym przemówił pierwszy.

Odezwałem się: nie pamiętam już com mówił, wiem tylko że w bardzo niewyraźnych, bezładnych słowach prosiłem o przebaczenie za to, iż ośmieliłem się przerywać jej rozmyślanie, przypominając żem już widział ją przed rokiem; lecz kiedym chciał wypowiedzieć jak byłbym szczęśliwy gdyby mi zaufała i raczyła przyjąć usługi moje, głosu mi zabrakło i pomieszany zamilkłem.

Podniosłszy oczy, ujrzałem jej spojrzenie, jak przedtem na mnie zwrócone.

— Czy jesteś chrześcijaninem? zapytała.

Był to ten sam głos wyraźny, melodyjny, a jednak tak słaby jakby szmer wietrzyka. Była jakaś tęsknota w tej melodyi, i gdybym mógł użyć tego wyrażenia dla dokładnego oddania myśli mojej, głos ten zdawał się dochodzić do mnie jak gdyby z oddali, jakby na skrzydłach wiatru do ucha mego dolatywał.

Skłoniłem głowę i odpowiedziałem iż jestem chrześcijaninem.

Wskazała ręką na grób, z którego odcisk zdjąłem dwa dni temu.

— Tu spoczęła dusza chrześcijańska—rzekła, w ziemię zagrzebana bez chrześcijańskiej modlitwy, według izraelskich obrządków i na izraelskim cmentarzu. Czy chciałbyś cudzoziemcze dopełnić miłosiernego uczynku.

— Signora niech tylko mówić raczy, każdy jej rozkaz będzie spełniony.

— To odmów modlitwę chrześcijańską nad tym grobem i połóż znak krzyża na tym kamieniu.

— Uczynię to z pewnością.

Podziękowała mi gestem tylko, lekko uchylając głowę i wolnym krokiem skierowała się ku niezbyt odległemu pagórkowi. Widocznie nie życzyła sobie dalszej rozmowy. Nie miałem żadnego powodu zostawać dłużej, żadnego przyzwoitego sposobu zawiązania na nowo rozmowy. Odszedłem więc i zwróciłem głowę gdym stanął na wysokości, z której widziałem dobrze iż mogę ujrzyć ją raz jeszcze; lecz próżno rozglądałem się na wszystkie strony, nigdzie już jej nie było.

Miałem postanowienie pomówić z nią, i oto wszystko co otrzymałem. Z pewnością żaden człowiek tak dziwniejszego nie miał spotkania. Nic nie powiedziałem com chciał jej powiedzieć, nic się nie dowiedziałem z tego czego tak pragnąłem, nie poznałem ani jej stanowiska w świecie, ani nazwiska, ani mieszkania a jednak może nie miałem powodu być zupełnie niezadowolnionym. Obdarzyła mnie bowiem zaufaniem i powierzyła ważne zlecenie. Nic mi więc nie zostawało jak tylko prędko i najdokładniej je spełnić. To uczyniwszy, mogłem mieć nadzieję zasłużenia na wspomnienie, a później zdobycia jej szacunku.

Pomimo woli ciągle jedno pytanie na myśl mi wracało: czyją mogła być ta mogiła? Byłem pewny że ojca, ale czyż podobna było przypuścić, iżby zmarł wyznając w całej skrytości wiarę chrześcijańską? Może kochanka chrześcijanina, albo siostry? Ale nie miałem czasu gubić się w płonnych domysłach, powinienem był działać i działać szybko.

Wróciłem do Wenecyi tak prędko jak tylko siły mego gondoliera starczyć mogły, a w ciągu drogi przyrzekałem sobie, że wszystkie jej życzenia będą spełnione zanim po raz drugi odwiedzi cmentarz. Potrzeba mi więc było umówić się natychmiast z kapłanem, któryby zgodził się na odmówienie na grobie modlitw żałobnych, nazajutrz z rana; a przytem wynaleść kamieniarza ażeby wyrył krzyż na marmurowej płycie. Chciałem koniecznie spełnić to wszystko nazajutrz tak prędko, ażeby uprzedzić tych którzyby w ciągu dnia na cmentarz przyjść mogli, choćbym miał przez całą noc błądzić i szukać po Wenecyi.

Księdza znalazłem z łatwością. Był to młody duchowny mieszkający tuż obok mego hotelu z którym parę razy już przedtem się spotykałem; nadto był on moim współ-rodakiem z północnej Anglji i niedawno w Rzymie kapłańskie święcenie otrzymał. Przyrzekł mi z największą gotowością dopełnić wszystko com żądał i o szóstej rano miał przyjść do mego mieszkania, ażeby razem ze mną udać się na Lido.

Z wynalezieniem kamieniarza nie mało miałem trudności. Postępując rozważnie, wziąłem najprzód adresy kilku robotników i siadłszy w gondolę o dziesięciu wiosłach, puściłem się aby ich wynaleść.

Poszukiwania takie, wśród nocy, po ciasnych i krętych *canaletti* Wenecyi, nie są wcale łatwem przedsięwzięciem. Małe te kanały niezmiernie kręte, rozchodzące się w najrozmaitszych kierunkach, zawalone łodziami z drzewem, zbożem i produktami wszelkiego rodzaju, bardzo niedostatecznie oświetlone i zupełnie podobne jedne do drugich, wbłąd wprowadzają nieraz samych gondolierów nawet, a dla nie mieszkających stale nad ich brzegami, są jakby jaką *terra incognita*.

Udało mi się jednak wynaleść trzy ze wskazanych mi adresów. Pod jednym powiedziano mi że robotnik tu mieszkający pracuje obecnie na Murano i dopiero w sobotę powróci. Pod drugim i trzecim zastałem wprawdzie kamieniarzy w domu, wieczerzających z żonami i dziećmi po całodziennej pracy lecz żaden oznaczonej roboty podjąć się nie chciał. Jeden pomówiwszy na stronie z synem, oświadczył że z przykrością musi mi odmówić: drugi szczerze odpowiedział, że po prostu nie śmie, i wątpi czy w całej Wenecyi znajdę robotnika tak śmiałego iżby się na to odważył.

— Żydzi — mówił — teraz bogaci są i potężni w Wenecyi, nie jest to już ów lud dawny, któren można było ciemiężyć i obrażać bezkarnie. Wyciosać krzyż chrześcijański na grobie żydowskim, na żydowskim cmentarzu, może być za rodzaj świętokradztwa uważane i zapewne jest przez prawo nie dozwolone.

Wszystko to zdawało mi się być słusznem, widząc przytem że moi wioślarze nie bardzo pewni są drogi, a *caneletti* coraz ciemniejsze się stają, chciałem wracać co prędzej; kupiłem więc u majstra dwa dłutka i młotek drewniany i sam postanowiłem spełnić to niby świętokradztwo którego się obawiał.

Wszystko odbyło się nazajutrz tak jak ułożyłem sobie. Mój duchowny przyjaciel stawił się raniutko, zjadł ze mną śniadanie, towarzyszył mi na Lido i odmówił przy grobie modlitwy które uznał za stosowne; potem mając zajęcia pilne, wrócił do miasta zostawiając mnie samego dla ukończenia drugiej części mego zadania, które jak dla mnie wcale łatwem nie było. Dla ręki wprawnej, nie byłoby zapewne więcej roboty jak przez jakie pół godziny, ale dla mnie com nigdy nic podobnego nie robił, wykucie krzyża na kilka centymetrów długości, zabrało więcej niż godzin cztery. Umieściłem go u samego dołu płyty marmurowej, aby w razie potrzeby mógł być garścią piasku zasypany. Kiedym tak oddany był pracy, szara i smutna pomroka ranna przybrała powoli ciemniejsze i bardziej ponure barwy, gęsta mgła wzniosła się z Adryatyku i wiatr jęcząc chwilami, zdawał się przesyłać dalekie *requiem*. Nieraz zadrżałem, wyobrażając sobie że ona przypatruje się mojej robocie, że słyszę lekki szelest jej sukni, lub lekkie westchnienie; ale nie, to tylko dalekie jęki wiatru słuch mój łudziły; byłem zupełnie samotny. Kiedy w końcu wróciłem do hotelu była już godzina druga. Odźwierny oddał mi list. Rzuciwszy okiem na podpis zaledwo czytelny, przekonałem się że z Padwy pochodzi. Nareszcie! Wpadłem do mego pokoju, rozerwałem kopertę i czytałem co następuje:

„*Caro signore, napis którego odcisk mi przysłałeś nie jest ani dawny, ani ciekawy, jak może myślałeś. Opiewa on po prostu, że osoba z imienia Salomea, ukochana i jedyna córka Izaaka da Costa, zmarła przeszłej jesieni, 18-go października, mając lat dwadzieścia i jeden, i że kamień ten położony w miejscu gdzie zwłoki jej spoczywają.*

Racz caro signore, przyjąć wyrazy mego szacunku

Nicolo Nicolai.

List wypadł mi z rąk. Zdawało mi się żem czytał nic a nic nie rozumiejąc. Podniosłem go po raz trzeci i odczytałem słowo po słowie. Usiadłem, wstałem po chwili i chodziłem jak błędny po pokoju. Nie ufałem własnym oczom, nie rozumiałem co się ze mną dzieje.

Czy mogły istnieć dwie Salomee? Czy może była w tem jaka dziwna, nadzwyczajna pomyłka? Biłem się z myślami, nie wiedziałem co począć. Czy miałem iść na Merceria, ażeby się przekonać o ile nazwisko da Costa było tam znane, czy starać się przepatrzyć akta zgonów w cyrkule żydowskim, czy udać się do głównego rabina i prosić go o wiadomość jaka to być mogła ta druga Salomea, i w jakim stopniu spokrewniona z tą którą znałem? Na ten ostatni krok zdecydowałem się wreszcie. Z łatwością dostałem adres głównego rabina, mieszkał w starym domu na Giudecca. Znalazłem w nim bardzo poważnego starca, z białą brodą aż do pasa sięgającą. Przedstawiłem się i prosiłem o objaśnienie dotyczące Salomei da Costa, zmarłej 18-go października i pochowanej na Lido.

(*d. n.*)

Korespondencya zagraniczna ze Wschodu.

(Dokończenie).

Idąc za zdaniem wielu znakomitych mężów stanu, przyznać trzeba, że dzisiejsze zajmowanie się Turcyą jest głównie kwestyą ekonomiczną dróg, kanałów i kolei żelaznych. Dopokąd te nie zostaną zaprowadzone, dola ludności się nie polepszy a wszelkie reformy pozostaną martwą literą. Jak tu myślić o koniecznej oszczędności! Sułtan, dopokąd gwałtem nie będzie do tego zmuszony, nie może wyrzucić na bruk całych setek żon swoich, ani pozbyć się 200,000 Osmanlisów konstantynopolitańskich których całem utrzymaniem są urzęda publiczne.

Gdyby Fuad-pasza był urodził się w innym narodzie, gdyby nie był Turkiem, byłby niezawodnie bezinteresownym, gdyby bezinteresowność przydała się na coś jego sprawie, ale widząc że nie może ocalić obiadu swego pana, pierwszy się nań rzucił.

Pewnego razu w przepysznej swojej willi Skutari, miał u siebie na śniadaniu pewnego Francuza; podczas śniadania przyniesiono mu z poczty numer *Rêvue des deux mondes*, w którym mieścił się artykuł o odbudowaniu Turcyi za pomocą dróg i banków.

— Patrz, rzekł do swego gościa, oto jakiś poczciwy Paryżanin, chcąc umieścić swoje pieniądze na dobry procent, namawia nas abyśmy zakładali banki i drogi, dla tego zapewnie aby wzbogaceni rajasi, łatwiej doprowadzili nas do granicy. Możesz powiedzieć mu, że nie będziem zakładać banków ani dróg, ale zbankrutujemy.

I stało się jak przepowiedział.

Przejdźmy teraz do weselszych troszkę wiadomości. Otóż jest opera teatru francuzkiego w Konstantynopolu, złożona z rozgłośnej sławy śpiewaczek, śpiewaków i chóru 30 osób liczącego. Pomiędzy różnej sławy dziełami, wystawiają także: Piękną Helenę, Córkę pani Angot, Kwiat herbaty i t. p. figle zręczności Offenbacha. Komu nic nie brak, może sobie i na zbytki pozwalać. Nie ma wprawdzie Turcya kolei, dróg, mostów, ładu i składu we wszystkiem co jej dotyczy, ale ma operę z której niektórych artystek nie jeden teatr pierwszorzędny mógłby pozazdrościć. Niechże się choć tem pociesza i to coś znaczy.

Kiedy wszelkie reformy w Turcyi są prawie niemożebne, Egipt przeciwnie zaprowadza je z łatwością. Nowe trybunały urządzone na wzór europejskich, jak tylko zostaną zatwierdzone przez Kediwego, na miesiąc przed ich otwarciem, zyskają moc obowiązującą w całym Egipcie.

Europejczycy cieszący się dobrodziejstwami prawa cywilnego i dostępnego dla wszystkich, nie mogą sobie wyobrazić z jaką niechęcią muzułmanie przyjęli to postanowienie, gdyż według nich sama nazwa „kodeks cywilny“ jest przerażająco rewolucyjną. Szczęściem, Kediwe nie jest związany jak padyszach, dostojeństwem kalifa i głowy najzacofańszej religji, zdoła więc przeprowadzić powyższą zmianę prawodawstwa.

Sprzedaż kanału Suezkiego tak dla Egipcyan jak i dla cudzoziemskich mieszkańców Egiptu jest zupełnie obojętną; spełnił już co oczekiwano po nim, zapewnił bowiem przyszłą niepodległość Egiptu, dając mu za granice *tranzito* żeglugi do Indyi, teraz więc interesem handlu egipskiego jest tylko przeciwstawić kanałowi współzawodnictwo sieci kolei nad Nilowych, które niezadługo dosięgną do cieśniny Bab-el-Mandeb. Czy więc produkta egipskie przeznaczone będą na morza Indyjskie, jako to cukier wice-króla i bydło z Abisynji, czy skierowane do Anglji jak np. bawełna, rzecz prosta, że nie będą obciążone mytem drogowem. Z tego wynika że kanał Suezki staje się dla Egiptu ekonomicznym antagonistą, któremu zawsze starać się będzie wydzierać wszelki przewóz do Afryki.

Nie wszystko złoto co się świeci, a *Times* londyński może zawcześnie zadął w trąby zwycięztwa. Przedwczesna ta radość dowodzi tylko ważności przewrotu ekonomicznego i politycznego, do jakiego dał hasło p. de Lesseps. Już blizko od czterech wieków, cała działalność Europy zwróciła się ku Ameryce, i to stało się źródłem bogactwa Anglji, otrzymała tu pierwszorzędne stanowisko, które przysługiwało jej także i względem Indyi. Okręt odpływający z Marsylji lub Konstantynopola, musiał płynąć 500 do 600 mil w przeciwnym kierunku, zanim dogonił statek angielski odpływający z Londynu. Dziś nietylko Ameryka zaczyna zabezpieczać się cłem protekcyjnem ograniczającem przewóz angielski, ale nadto sama już od dość dawna stała się dla W. Brytanji groźną współzawodniczką na targach azyatyckich, do których zbliżyła się olbrzymim krokiem, dzięki sieci kolei żelaznych, łączących Nowy-York z San-Francisco. A targowiska azyatyckie, to ni mniej ni więcej, tylko 700 milijonów konsumentów, których dziś Anglija dosięga za pomocą kanału Suezkiego.

Tutejsi politycy Abisyniją dosyć się zajmują, a pragnąc jej przyłączenia do Egiptu, widzą jasno przyszłe zatargi, ze swą dzisiejszą protektorką, która jak wiadomo za wszystkie przysługi, każe sobie doskonale płacić. Sami Abisyńczycy nazywają siebie Gezami, od nazwy miasta „Gaza“ w Palestynie, które było jednym z ich licznych etapów, od stepów Scytyi do ciaśniny Bab - el - Mandeb. Jakkolwiek utracili już swą białą cerę, nie ulega zaprzeczeniu, że na kilka wieków przed erą chrześcijańską osiedlili się w Owernji pod nazwą „Gaezów“ albo „Gezatów“ a granice ich posiadłości stanowiły dzisiejsze granicy Arwerues, i „Gevaudan“ czyli kraj „Gevodów“ co w języku ich znaczy dosłownie kraj zielony.

Dziś Abisyniję łączy z Egiptem szczególny rodzaj wasalstwa, z pod którego nigdy nie pragnęła się uwolnić. Negus może być tylko koronowany przez „obuna“ czyli koptyjskiego biskupa z Aleksandryi, który szalenie każe sobie płacić za ten obrządek. Jeźli Kediwe chce i umie, może ogromne ciągnąć korzyści z tego odwiecznego zwyczaju, sięgającego do czwartego stulecia naszej ery.

Dynastya Salomona dotrwała do dziś dnia w Abisynji. Niedawno temu podróżnik francuzki, kapitan Girard, odwiedzał ostatniego potomka przeszło trzystu królów, nazwiskiem Ato Johannes. Jest to starzec 65-letni, zdradzający najwyraźniej pochodzenie żydowskie i dotąd zachował białą cerę swych przodków. Gdy p. Girard zapytał go dla czego nie dochodził praw swoich do korony, ten Chambord afrykański odpowiedział mu iż woli żyć spokojnie zdala od świata, niż przelewać krew bratnią dla zasycenia pychy i żądzy panowania, której on zresztą bynajmniej nie uczuwa.

— Przodkowie moi, dodał, dość długo już panowali nad tym niespokojnym ludem, co do mnie, nie nęci mnie ten zaszczyt, jeśli to za zaszczyt uważać można; wolę żyć spokojnie.

Ato Johannes utrzymuje się z pensyi, jaką mu wypłacają książęta zasiadający na tronie jego naddziadów.

Abisynija jest dziś tem, czem była Palestyna za czasów Dawida, jest tu pospólstwo rasy semityckiej, spokojne i pracowite, kasta wojskowa odważna i zwadliwa, wyzyskująca je niemiłosiernie, i mnóstwo kapłanów podtrzymujących starannie ogólną ciemnotę i zacofanie. Lazaryści probowali nawrócić Abisyńczyków na religiję katolicką, ale usiłowania ich się nie powiodły. Ludność jednak powitałaby z radością szkoły sztuk i rzemiosł, i nie byłaby przeciwną protektorowi egipskiemu, gdyby był wykonywany przez „rozumnych i uczciwych“ Europejczyków.

Podbój siłą, gdyby się nawet udał, drogo bardzo by kosztował Egipt. Nawet Anglija nie byłaby mogła utrzymać się w Abisynji, gdyż krajowcy są bardzo odważni i wymordowaliby wszystkich jej żołnierzy. Niedawno wojska egipskie, dowodzone przez oficerów niemieckich i szwajcarskich, pobite zostały przez Abisyńczyków, których oficer francuzki, nazwiskiem Réné, uorganizował na sposób europejski. Kediwe może więc tylko myślić o zajęciu i utrzymaniu w swojem posiadaniu dróg handlowych.

Dla uzupełnienia sprawozdania, powinienem jeszcze objaśnić powód wtargnięcia do północnych prowincyi Zanzibaru.

Lat temu kilka, angielski okręt *River* wysadził na ląd kilku oficerów dla zbadania przylądku Gardofui, oficerowie ci znikli bez śladu. Opuszczeni marynarze podzielili się na dwa oddziały; jeden udał się wybrzeżem, chcąc dostać się do najbliższej stacyi angielskiej i zaginął bez wieści, drugi, złożony z odważniejszych, postanowił zapuścić się w głąb kraju, aby uniknąć skwarnej temperatury i niezdrowych wybrzeży. Źle przyjęci przez dzikich muzułmanów, przedarli się do dawnych kolonji żydowskich w Falaskas, pomogli mu odeprzyć Gallas-Karakrasów, a żydzi w zamian za tę przysługę, ułatwili im dostanie się do prześlicznych ziem „Limnu“ na południe Abisynji. Jest to kraina przepysznych łąk, użyźnianych bystremi rzekami, zamieszkana przez spokojne plemiona. Pewien młody oficer, nazwiskiem Stagure, postanowił osiąść tu i zająć się hodowlą owiec. W tym celu sprowadził sobie pięć owiec i trzech baranów z przylądka Dobrej Nadziei, oraz dziesięć owiec z Bengalu, i skrzyżował je z dwudziestu wybranemi z rasy krajowej.

Działo się to pięć lat temu; dziś owce jego biegają w tysiącznych gromadach; na każde tysiąc wyznaczony jest jeden dozorca, a takich Stagure utrzymuje 120, z płacą 25 franków na tydzień. Czterdziestu ludzi zajmuje się transportem, a 125 wprawnych krajowców strzyżą owiec. Wełna przynosi mu 1,600,000 fr. rocznie czystego dochodu, a wyprawiana bywa do Zeila. Egipt więc potrzebuje tego portu, dla utworzenia drogi zbytu dla Limnu i Harar, które zajął.

A teraz jakaż może być przyszłość tego rozległego państwa rolnego, utworzonego przez Kediwego? Możnaż uważać to za fakt budzącego się do życia islamu?.. bynajmniej, bo religija ta zstąpiła do kategoryi wyznań, które utraciły wszelką działalność i wpływ, i samych tylko bankierów wytwarzać umie. Takie jest dziś rzeczywiście położenie sekciarzy Zend-Awesta i Starego Testamentu; nic nie działają i są już tylko prostemi dostarczycielami pieniędzy wyzyskiwanych przez innych. Zastanawiając się rozważnie nad rolą Kediwego, przekonywamy się że dostarcza skwaterom Anglji, Szwajcaryi, Ameryki i Francyi, pieniędzy i żołnierzy muzułmańskich, ale dowodzonych przez Europejczyków, nie troszczących się bynajmniej o rozkrzewianie islamu. Z natury rzeczy oni to objęmą w posiadanie ziemię i utworzą arystokracyę terytoryalną; drugie miejsce zajmą Albańczycy i Grecy, stanowiący średnią klasę tych nowych osad, które rzecz prosta, dostaną się kiedyś w ich posiadanie. Co więcej, przyłączenie Abisynji i żydowskich kolonji Falaskas, których wysokie płaszczyzny wybornie się nadają do kolonizacyi europejskiej na obszerną skalę, musi niezadługo ograniczyć muzułmanów do małej mniejszości, tem łatwiej że

grunta te są bardzo rozległe i mogą pomieścić ludność daleko liczniejszą niż szczupła dolina niższego Nilu. Dalej Gezowie i żydzi Afryki wschodniej przechowali w żyłach wiele krwi europejskiej, a tem samem mają daleko więcej energji niż fellahowie niższego Egiptu, w którym Europejczycy już w drugiem pokoleniu słabną a w trzeciem zupełnie giną. Tak więc, przy równej nawet cywilizacyi, zawsze Abisyńczykowie przewodzić będą nad Egipcyanami, z czego wynika że Kedywe wyciąga kasztany z ognia dla skwaterów angielskich, i że prędzej czy później zostaną one spożyte przez Greków połączonych z Abisyńczykami, którzy zawsze wielki okazywali pociąg do ich cywilizacyi. Jedna tylko rzecz może przedłużyć panowanie Kediwego, a mianowicie, że jakkolwiek ludność jest różnego pochodzenia, wszyscy jednak jednym, to jest arabskim mówią językiem.

M. G.

Przegląd literacki.

Jak wygląda świat i co się na nim znajduje. Opowiadanie geograficzne i przyrodnicze dla dzieci. Według F. Gerstaeckera dla czytelników polskich opracowała Zuzanna Zajączkowska. Warszawa. Nakład Maurycego Orgelbranda 1876.

Dwoje kilkoletnich dzieci wraz z ojcem wyszło pewnego pięknego poranku majowego na wzgórek. Krajobraz jaki roztacza się do koła, wyradza w nich chęć poznania pięknego świata. Ojciec korzystając z tego usposobienia dziatek, opowiada im w przystępny sposób o zjawiskach przyrody, kulistości i podziale ziemi, porach roku i t. d. Pełne naiwności i prostoty zapytania małych słuchaczy przydają szczególnego wdzięku całemu tokowi opowieści, tak, że przedmiot z natury swej suchy i niedołężny staje się ponętnym i zrozumiałym. Czytając całą część pierwszą dzieła, jakoteż początkowe rozdziały części drugiej traktującej o Europie, byliśmy zachwyceni wdziękiem obrobienia zastosowanym do umysłów kilkoletnich uczniów, następnie pierwotne to wrażenie nikło i zacierało się stopniowo, w końcu zaś ustąpić musiało bezwarunkowemu rozczarowaniu. O ile bowiem początek książki odpowiada w zupełności założeniu autora, o tyle dalszy jej ciąg chybia zakreślonego przez tegoż celu.

Zważcie sami: przy początku opowiadania Józio ma lat 8, Zosia sześć zaledwie liczy. Jakkolwiek autor nie określił wyraźnie długości trwania wycieczek i połączonych z nią nauk, przypuścić należy iż takowe powtarzające się codziennie z kilkoma niezbyt długiemi przerwami, zajęły całą wiosnę, lato aż do późnej jesieni, jakoteż dwie następne pory, a zatem wszystkiego najwięcej półtora roku. Czyliż więc podobna sądzić, ażeby dziatki w tym wieku mogły zrozumieć dość suche wywody jakie w dalszym ciągu przyrodniczego i geograficznego opisu części świata znajdujemy, czyliż można mniemać ażeby chłopczyk który słysząc o kulistości ziemi powiedział: „Jak się cieszę że my mieszkamy na wierzchu kuli, gdybyśmy bowiem byli na boku, tobyśmy zlecieli na dół" (str. 11) mógł w kilka miesięcy później zadać takie np. zapytanie: „Dla czego powtarzamy ciągle wyrazy: licząc od wyspy Ferro? Jeżeli bowiem wyspa ta raz już została przyjętą za punkt wyjścia do obliczenia długości geograficznej, to już tu nie zachodzi żadna wątpliwość, i każdy domyśli się że dana długość liczy się od południka przechodzącego przez wyspę Ferro!" (str. 140). W innem znowu miejscu i to znacznie później, ów mądry przed miesiącem lub dwoma Józio, wraca do swej pierwotnej prostoty (jeżeli nie innym już nazwać ją wyrazem), i pyta mówiąc o archipelagu około Nowej Gwinei położonym „czy można z jednej wyspy na drugą *przeskakiwać!*" (str. 286).

Nieprawdopodobniejszą gimnastyką jak przeskakiwanie z wyspy na wyspę, jest ta jakiej się dopuścił p. Gerstaecker przemieniając jednym pociągiem pióra ograniczonego prostaczka w zadziwiające głębokością swych poglądów dziecię, ażeby znów po upływie kilku miesięcy uczynić z niego niedołężnego o tępem pojęciu malca. Oprócz powyższej niekonsekwentności opisy Ameryki, Oceanji, Australji, grzeszą nieodpowiedniem zestawieniem szczegółów i bezładną mieszaniną treści, Azyi zaś a poczęści i Afryki nie zbyt dokładną znajomością opisywanych przedmiotów.

Znajdujemy w dziełku całe ustępy o szerokości i długości geograficznej określone stylem zawiłym, niesmacznym, najeżonym cyframi i obliczeniami matematycznemi, któreby nie tylko kilkoletnie dzieci, ale nawet uczniowie klas średnich z trudnością pojąć mogli. W zastosowaniu szczegółów nie ma żadnej stale przyjętej normy. Częstokroć autor rozszerza się bezpotrzebnie nad drobiazgami jak np. sposobem łowienia wiewiórek na Syberyi, wypuszczaniu strzał przez plemiona amerykańskie, przyrządzenia mięsa pod siodłem przez Gauchosów, a nawet przytacza całkiem zbyteczne baśnie i legendy o widmie-okręcie, pokutującym duchu holendra (str. 386 i 387) z pominięciem nierównie pożyteczniejszych wiadomości. Bezpotrzebne pomieszanie treści wyradza chaos i zamęt. Naprzykład w rozdziale III poświęconemu geograficznemu określeniu Rossyi i Królestwa Polskiego, jakoteż Szwecyi i Norwegji, ułożono długi opis polowania na zwierzęta, zamiast umieścić takowy we właściwem miejscu, t. j. w rozdziale IX traktujących w ogóle o zwierzętach europejskich, gdzie znowu pogwałciwszy wszelkie zasady zoologji lisa a nawet niedźwiedzia w liczbie *drapieżnych* zwierząt zamieszczono! (str. 129 i 130.

Obok podobnej nieznajomości podziału zoologicznego rodzajów i gatunków, brak niektórych popularniejszych określeń daje się czuć tu i owdzie w toku opowiadania. Wprawdzie p. Zajączkowska pragnęła wypełnić ów niedostatek przez zaokrąglenie nie wyczerpniętych dostatecznie przedmiotów, ale dodatki przez nią uskutecznione, ograniczają w przytoczeniu żywcem całych ustępów z dzieł Liwingstona, Lejchardt'a, Burkego i Bakera. bez nadania im przystępnej dla młodocianego wieku formy.

Szczegóły o ludożercach rażą dziwacznością poglądu. „Ludożercami" mówi ojciec „nazywamy takich ludzi, dla których mięso ludzkie jest *zwyczajnem* pożywieniem. W głębi Sumatry żyje lud który morduje i pożera swoich jeńców wojennych, ale to nosi na sobie charakter obrządku religijnego. Tak było i będzie zawsze" (str. 327). Więc poczciwy ojczulek uczy swe dzieci iż ludożercami nazwać można tylko tych, dla których mięso ludzkie stanowi *zwyczajny* posiłek — ci zaś którzy nie tak często z ciał swoich nieprzyjaciół przyrządzają befsztyki i pieczenie, zwłaszcza gdy te krwawe biesiady noszą na sobie *cechę obrządku religijnego*, są niejako wytłomaczeni, tym bardziej że tak było i *będzie* (?) *zawsze*. Zaprawdę pytam się Was bezstronni czytelnicy, czy może istnieć na świecie ojciec, któryby karmił umysły swoich dzieci podobnemi bredniami?

Zastanawiając się bliżej nad częściami składowemi ocenianego obecnie przez nas dzieła, ubolewać należy nad grubą nieświadomością autora o rzeczach powszechnie wiadomych i do elementarnych niemal zasad nauki należących. Niemcy mają to do siebie iż z rzadką zarozumiałością lubią pisać o wszystkiem, nawet o przedmiotach których zupełnie nie znają. P. Zajączkowska przepolszczając pracę p. Gerstaeckera winna była poprawić błędy autora, tymbardziej iż książka dla młodego pokolenia przeznaczona, mniej aniżeli jakakolwiekbądź inna może grzeszyć niesumiennem podawaniem faktów. Rozmiary niniejszego sprawozdania nie pozwalają nam przytoczyć wszystkich niedokładności, ograniczymy się więc jedynie do północnej Azyi i północnej Afryki jako stron lepiej nam osobiście znanych. W nader krótkim, gdyż zaledwie z dwóch stronnic druku złożonym opisie Syberyi, pominięto zupełnie wzmiankę o jej przejściu pod panowanie Rossyi, a wyliczając zamieszkujące tamże plemiona dopuszczono się trudnych do darowania zboczeń. Autor mówiąc o pierwotnych ludach tak się wyraża: „tu należą Kirgizy, Baszkiry, Tunguzy, Samojedzi, Kamczadale, Czukcze i hordy południowych kozaków" nie wspomina zaś nic zupełnie o Sajaucach, Giliakach, Samagrach, a nawet o najliczniejszych Jakutach, Buryatach, Tatarach. Z wymienionych przez niego szczepów Kirgizów i Baszkirów, jako mieszkańców kraju turkestańskiego, do ludności syberyjskiej w żaden sposób zaliczyć nie można, Czukcze są małoznaczną garstką wygasającego na krańcowej północy plemienia, to zaś co mu się podobało nazwać *dzikiemi hordami kozaków* stanowi pewną europejską kastę pełniącą służbę wojenną, a mającą cokolwiek podobieństwa pod względem militarnego regulaminu do znanych powszechnie kozaków dońskich. Rozszerzając się nad opisem tundr czyli bagnisk północnych, pomija bezwarunkowem milczeniem tajgi czyli pustynie leśne, tak przeważne mające znaczenie w geografji Syberyi. Twierdzi, iż najcenniejszem futrem jakie dostarcza północ są sobole; tymczasem wiadomo powszechnie, iż sobol w handlu ustępuje pierwszeństwo niebieskiemu lisowi. Irkuck nazywa najznaczniejszem miastem *zachodniej* Syberyi (str. 348), z obwodów wymienia tylko amurski i pomorski nie wspominając nic o turuchańskim a nawet o największym ze wszystkich pod względem zajmowanej przestrzeni jakuckim. Podobnież rażące błędy znaleźć można w wiadomościach o obrządkach religijnych. O najstarszym i najbardziej rozpowszechnionym na Syberyi wyznaniu szamańskim żadnej wzmianki nie ma, natomiast budaistów czczących jednego nieśmiertelnego Boga, podobało się panu Gerstaeckerowi nazwać ogólnem mianem pogan! Mandżurów wszystkich bez wyjątku za wyznających budaizm uważa, kiedy tymczasem znaczna ich część praktykuje obrządki Konfucyusza, a inni znowu trzymają się starożytnej religji Tao-tse. Całe państwo niebieskie niesłusznie nazywa autor Mandżuryą, gdyż nazwa ta należy wyłącznie do jednej tylko prowincyi stanowiącej małą cząstkę Chin. Wyliczające podrzędne miasteczka Mongolji Mukden i Tsitsikar, pomija milczeniem najznaczniejszy i ufortyfikowany gród tejże prowincyi Uliasutaj.

Jeżeli mówiąc o zaludnieniu Afryki wspomina p. Gerstaecker o niektórych mniej licznych szczepach jak np. Zulukafrach, Betszanach dla czegóż pomija Bombarosów, Sarakoletów, Gallasów, Makolosów i t. d. Albo więc należało wspomnieć ogólnie o plemionach Jolofskich i Semickich, choćby nawet z pominięciem Mandingów i Fullasów, albo też wymieniając szczepy po szczególe zamieścić jeżeli nie wszystkie to przynajmniej znaczniejsze. Obok tyle obszernego choć niedokładnego opisu ludów środkową Afrykę zamieszkujących, zbyt krótką poświęca wzmiankę państwom północnym, chociaż te z samego swego geograficznego położenia więcej nierównie nas mieszkańców Europy obchodzić powinny. W siedmiu wierszach zawierające się określenie kraju tunetańskiego jest najzupełniej fałszywem. Naprzód mieszkańcy tych stron oprócz nie zbyt licznych Maury-

tanów stolicę państwa zamieszkujących, nie trudnią się rękodzielnictwem, lecz tworzą pasterskie pokolenia arabów koczujących; powtóre cywilizacya europejska niezdołała dotąd pomimo wszelkich starań wywrzeć tam zbawiennego wpływu. Nie tak dawno jeszcze wbijano ludzi żywcem na pal, dotąd ścinają podejrzanych o występek bez śledztwa i sądu w Bardo (rezydencyi Beja) a Bab-el-suika (wrota śmierci) z zatkniętemi na żelaznych goździach głowami skazanych, widziałem sam w czasie bytności mojej w Tunis.

Wprawdzie zdaniem naszem wszystkie powyżej przytoczone szczegóły mogłyby być pominiętemi w dziełku popularnem dla dzieci do czytania przeznaczonem, gdy jednak autor uznał za stosowne je przytoczyć, należało mu trzymać się prawdy nie zaś prawić na chybił trafił, bez dokładnego obznajmienia się z opisywanym przedmiotem, nieuzasadnione niczem brednie. Bezzaprzeczenia większa ilość podobnych szczegółów pomieszczoną jest w opisach Ameryki, Polinezyi i Oceanji; jeżeli one wszystkie są równie prawdziwemi jak te których użyto do opisania północnej Azyi i Afryki, to książka p. t. „Jak wygląda świat“ nie odpowiada swojemu założeniu.

Pięć mapek dołączonych do dzieła można nazwać bez obawy przesady prawdziwą tandetną robotą, z której albo wcale nic, albo przynajmniej bardzo mało dzieci nauczyć się zdołają. Nie mówimy już o niedokładności określenia granic wielu krajów np. właściwych Chin, z których porobiono kilka oddzielnych państw, ale o umieszczeniu w niewłaściwych miejscach i nieodpowiedniej odległości niektórych miast. I tak odległość Krasnojarska od Tomska wynosi zaledwie kilkaset wiorst, gdy tymczasem Jenisejsk daleko wyżej na północ jest położonym: na mapie zaś różnica odległości przedstawia się wprost przeciwnie. Na półkuli świata wśród Europy widzimy tylko jedno miasto Wiedeń: albo więc należało wypisać znaczniejsze przynajmniej stolice, albo też zostawić puste miejsce. To samo i co do Azyi. Tę znowu obdarzył wydawca tylko trzema miastami: Teheranem, Ispahanem i Kabulem, a Pekin największy z istniejących grodów pod względem rozległości jakoteż ilości mieszkańców uznał za stosowne usunąć zupełnie.

Jak już wyżej powiedziałem początek dzieła jest wyborny: do dodatnich stron rzeczonego wydania policzymy dokładną znajomość języka osoby przyswajającej tę pracę. Styl wszędzie jest jędrny, potoczysty, częstokroć nawet barwny, mianowicie w obrazowaniu — jednem słowem zewnętrzne cechy nie pozostawiają nic do życzenia. Cóż jednak znaczyć mogą powierzchowne zalety, obok niedokładnego a nawet po części błędnego tekstu? Gdyby pani Zajączkowska wprost, bez żadnych zmian przetłomaczyła książkę autora znanego zkądinąd zaszczytnie na polu literatury niemieckiej (*), nie mielibyśmy prawa wymagać od niej poprawek, opracowując jednak (jak się w nagłówku wyraża) cudze dzieło, należało jej koniecznie sprostować usterki oryginału; jeżeli bowiem tym którzy się mają za pionierów cywilizacyi wolno strzelać bąki, to nam takowych bezmyślnie powtarzać nie wypada. Dzieci bogatych i potężnych Germanów, mogą nie znać geografji lub też nauczyć się jej błędnie, i zawsze im będzie dobrze na świecie; nasi synowie zaś i nasze córki dla których nauka jedynie stanowi całą przyszłość, winny być kształcone sumiennie i z wszelką możliwą dokładnością; a tego, pomimo zewnętrznych swych zalet ocenione obecnie przez nas dzieło, dać im nie może.

Ludwik Niemojowski.

(*) Gerstaecker napisał powieści p. t. „Dziwne przygody“ Plagiar i t. d. odznaczające się rzeczywistym talentem. (Przyp. Sprawozdawcy).

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Sprężynowy materac.

Dowiedzioną jest rzeczą, iż nie masz wygodniejszego posłania nad sprężynowe materace, które obecnie nowym jeszcze pomysłem udoskonalone zostały, nie tyle może co do większej wygody jak do praktycznej swojej strony. Zwykle używany dotąd sprężynowy materac w razie najmniejszego uszkodzenia lub niedokładnej roboty wymagał koniecznie ręki tapicera, który go pruć musiał, aby zobaczyć i poprawić to co było uszkodzone, co zwłaszcza na wsi bardzo było niedogodnem. Nowy materac ma sprężyny całkiem odkryte, każdą więc niedokładność spostrzedz na razie można, i każdy mający choćby odrobinę mechanicznego sprytu, zaradzić łatwo może. Materac ten służy jako podesłanie spodnie pod włosiany materac, nie wiele wszakże w koszcie robi różnicy w porównaniu z materacem znanego nam powszechnego układu, ponieważ nie wymaga tak wiele jak w zwykłych, włosa lub weldhaara: gęsto zaś bardzo złożone sprężyny, niesłychanie mu wiele elastyczności dają.

Lekka lecz silna podstawa podwójnie obejmująca ze wszystkich czterech stron sprężyny, złożona jest z grubych okrągłych prętów żelaznych: na spodniej jej części opiera się krata z płaskich pasów żelaznych każdy zaś otwór kraty zapełnia się sprężyną. Na łóżko zwykłego rozmiaru idzie sześć rzędów po pięć sztuk w każdym rzędzie zawierających sprężyn. Podstawa ta nader lekko i dogodnie się wysuwa.

Cena materaca sprężynowego z magazynu p. Schlesingera na Marszałkowskiej ulicy wynosi rs. 10.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w następnym drugim kwartale b. r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.

Półrocznie . . . . . rs. 2.

Rocznie . . . . . . rs. 4.

Niską tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Nowe wydawnictwa.

Fantazya D-ra Ox. przez Julijusza Verne nakładem F. Stoppelle księgarza wydawcy, obejmuje w opowieści z życiem, dramatem i komizmem dopełnionej, wpływ tlenu na organizm ludzki i jego działanie na moralne usposobienie człowieka. Cena kop. 45.

Podróż po Hiszpanji Dra Stelli Sawickiego nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie — skład główny w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa. Zajmująca ta podróż pięknym dopełniona językiem, świadczy pochlebnie o badawczej zdolności autora, który w czasie stosunkowo dość krótkim, potrafił zebrać szczegóły bardzo interesujące.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1 Ubranie wizytowe. Suknia z kirasowym stanikiem odszyta z czarnej materyi faille zakończona plisowaniem przyciśniętem szeroką aksamitną plisą; fartuszkowa prosto ścięta tunika naszyta plisami i zakończona koronką. Krótki płaszczyk aksamitny podbity futrem i obłożony szeroko nurkami zapięty jest pod szyją na metalowe agrafki z łańcuszkiem. Kapelusz popielaty filcowy ma rondo wysoko odwinięte i podszyte aksamitem czarnym, przybranie składają popielate strusie pióra do cieniu i bukiecik niezapominajek w podpięciu.

Fig. 2. Ubranie wieczorowe. Suknia z faille koloru łosiowego w dwóch cieniach; z ciemniejszej materyi uszyta jest spódnica mająca przód bufowany i szerokie plisowanie u dołu; tylny bryt sukni z którego ułożona jest kontrafałda i poprzeczne fałdowanie z boków dodane z jaśniejszej faille. Niezmiernie długi stanik kirasowy z podłużnym wykrojem i rękawami sięgającemi do łokci odszyty z jaśniejszej materyi i zapinany z tyłu ma brzegi ozdobione bogatą frendzlą jedwabną. Wykrój szyi i rękawki dopełnione plisowaniem z crêpe lisse. We włosach róże.

Przyjaciela Dzieci Nr 11 wyszedł z druku i zawiera:

Belizaryusz (z drzeworytem).—Koszula szczęścia (wiersz). Krótki rys historyi zewnętrznej Rzymu.— Torquato-Tasso. Wyspa Tajemnicza przez Julijusza Werne (ciąg dalszy). O utrzymaniu zębów. — Z opowiadania pana Marcina.— Kotek i Panienka (bajka). — Welocyped. — O jednym chłopcu i dziewczynie.—Bazyliszek. — Trzeba być coraz lepszym i mędrszym (wiersz).— Śpioch.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 24 Февраля (7 Марта) 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.